Nr. 3. i 4. Lwów, luty, 1918. Rok XLI.

ŁOWCA

okładka inseratowa.

Kalendarzyk łowiecki na marzec:

W marcu wolno polować na głuszce i cietrzewie, ptactwo błotne i wodne. Nie wolno sprzedawać żadnej zwierzyny łownej, prócz wyż wymienionej i rogaczy, te ostatnie do 15-go marca.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA“ znajduje się przy ulicy Cichej nr. 1., I. p.
Godziny urzędowe dla stron od 9—1. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca“. Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Nr. 3. i 4. Lwów, luty 1918 Rok XLI.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 5 koron.

Wkładka roczna członka 20 koron

ŁOWIEC

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

Do naszych Myśliwych!

Kilkakrotnie już w ciągu ostatnich lat czterech zabierailśmy głos z tej mównicy naszej.

Wzywaliśmy do zaciągnięcia czujnych straży na progach domostw naszych, gdy wielka wojna zatknęła swe wici płomienne na rubieżach Macierzy naszej...

Nieśliśmy słowa otuchy, gdy z walącego się dziś państwa białego cara, przyszły jego straszne posły, niosąc nam ucisk, udrękę i zniszczenie pod obłudnem hasłem „oswobodzenia".

Koiliśmy Wasz smutek i żal przejmujący, gdy dorobek nasz kulturalny wstrząsnęła w posadach wroga przemoc, a umiłowanie nasze na pośmiewisko i szyderstwo podawano!

A dziś! — wołamy jako mężne i czujne strażniki — strzelce, co ongiś rozsiani po mrocznych puszczach nad Wartą, Bugiem i Niemnem wzywali do walki na życie i śmierć okrzykiem:

Wiemy, że żubry, te czcigodne żywe pomniki naszej Przyrody, zlękły się po raz drugi w życiu — tym razem śmiertelnie!

Wiemy o tem wszystkiem, czego nam wiedzieć nie wolno!

Łącząc się więc sercem całem z gromkim oburzenia głosem, jaki po całej rozległ się Polsce, protestując z całą mocą duszy przeciwko kupczeniu ziemią męczenników chełmskich i podlaskich, — wzywamy Was wszystkich pod jeden sztandar i jedno hasło: Nie dajmy ziemi!

Nigdy i nigdzie!

Wszak dotąd nie zginęliśmy i nie uspokoiły się jeszcze straszliwym ciężarem krwi, łez, nędzy, napięciem woli i orężnej siły rozchybotane szale wielkiej wagi wojny!

Rzućmy na nie wszyscy i nasze brzemię i naszą wspólną wolę wytrwania!

S. K.

Sprawozdanie.

z czynności Wydziału G. T. Ł. z okresu wojny po koniec roku 1917.

Wojna, która nakształt przeogromnej łuny pożarnej objęła z zdumiewającą szybkością świat cały, zastała nas — rzec można — pod każdym względem nieprzygotowanych, prócz tego jedynie, że ponad jej moc i grozę, silniejszą się okazała miłość dla naszej idei i z niej płynąca wola wytrwania na stanowisku.

Tem postanowieniem zbrojni, możemy dziś z czołem podniesionem i uczuciem dumy stanąć przed Walnem Zgromadzeniem, celem złożenia mu sprawozdania z czynności Prezydjum, Wydziału, Redakcji oraz Administracj „Łowca", w przekonaniu, że jakikolwiek okaże się wynik ogólny tej działalności i jej ocena, to ponad wszystkiem dominuje fakt, że jesteśmy!

W nadziei, że po trzech latach, może po raz pierwszy w tym roku uda się poddać naszą działalność podczas tej krwawej zawieruchy ocenie Walnego Zgromadzenia, uczynimy to z całą możliwą ścisłością i w tym celu streścić musimy pokrótce naszą z lat czterech historję.

Podobnie jak ogół, tak i my podzielaliśmy z początkiem wojny złudzenie co do jej krótkotrwałości; nie trwożyliśmy się więc bilansem naszych zasobów, na trzymiesięczny okres wojny — jak powszechnie głoszono — aż nadto dostatecznych. Podzielaliśmy też wszystkie złudzenia co do rychłej możliwości przeniesienia naszego pola pracy do wolnej Ojczyzny — i, jak ogół, przeżyliśmy niebawem po tych podniebnych wzlotach, bolesne rozczarowanie.

Na kraj nasz bowiem, opływający w niepamiętny od dawna urodzaj, u schyłku lata przecudnego 1914 r. zwaliła się fala ogromna najeźdzcy z Północy, aby, obiecując sobie przewalić się po przez Dunaj i Sprewę, — zostawić nam obrzydłe męty!

Jednem „zakazujet'sia" niweczyła nasz wiekowy dorobek kulturalny, zamykała szkoły i towarzystwa oświatowe, zabraniała wszelkich zrzeszeń, zakuła w cenzurę policyjną wszelkie żywe i pisane słowo!

Nie przeoczyła też i Gal. Tow. Łowieckiego.

Pierwszy numer „Łowca", z września 1914 r. wyszedł już w oprawie rosyjskiej. Poskreślano w nim wszystko, co groziło potędze jednej dziewiątej kuli ziemskiej, podyktowano i przysłano gotowe przeróbki artykułów, z poleceniem wydrukowania ich pod grozą zawieszenia wydawnictwa i osobistą odpowiedzialnością urzędującego wiceprezesa G. T. Ł.

Z pośród zalewu całego niemal kraju, poczęły nas dochodzić nieśmiałe głosy o zniszczeniu zwierzostanów, o samowolnych polowaniach żołdactwa, o ogólnej konfiskacie broni, nawet leśnikom, którzy tym sposobem stanęli bezsilni wobec szkodników w rewirach, — krótko mówiąc rozpętała się furja bezprawia, na którą nie było z początku żadnej rady.

Znaleźć ją było tem trudniej, że w myśl nakazu władz rosyjskich G. T. Ł. jako takie przestało istnieć. Pozwolono nam wegetować jedynie jako Redakcji „Łowca". Opierając się na tej wątłej podstawie, ratowaliśmy wszelkimi dostępnymi nam środkami zagrożone łowiectwo.

Deputacje i prośby u często się zmieniających wielmożów rosyjskich, wykołatały w końcu wydanie zakazu, wzbraniającego polowania oficerom i żołnie-

rzom, a choć zakaz ten obowiązywał przeważnie tylko na papierze, to jednak zyskaliśmy broń legalną, skuteczną przynajmniej w sporadycznych wypadkach.

Jeżeli przypomnimy i to, że Towarzystwo nasze, z powodu swej nazwy, budziło w uszach najeźdźcy niemiłe analogie z „Strzelcami", „Sokołami" i „Legionami", że datek 2000 K z funduszu budowy Ołtarza św. Huberta na rzecz Legionów był znany czynownikom rosyjskim, wówczas łatwo zrozumieć, o ile lżej wspomina się dziś te czasy, niż się je przeżywało.

Wytrzymaliśmy zwycięsko także i szereg zamachów na Redakcję, którą między innemi chciano zamknąć za to, że ówczesny redaktor (Mniszek) nie przedstawił się władzom na wyznaczonem posłuchaniu dla redaktorów dzienników *politycznych*.

Dopiero usilne przedkładania, że z polityką nie mamy nic wspólnego, oraz przelanie — na rozkaz, odpowiedzialności za redakcję, na wiceprezesa Tow., zażegnały niebezpieczeństwo zawieszenia naszego pisma.

Do ogólnych tych udręczeń przyłączyła się niebawem troska o podstawy materjalne.

Skromne zasoby kasowe, zebrane z oszczędnej gospodarki lat poprzednich, poczęły się wyczerpywać, a wkładki członków, krom od zamieszkałych we Lwowie, nie napływały. Pozostały na posterunku wiceprezes i redaktor w jednej osobie, Krogulski, skazany na własną inicjatywę i siły, stanął niebawem wobec pytania, czy zawiesić pracę i zaprzepaścić tym sposobem owoce czterdziestoletniego dorobku Towarzystwa, czy też wytrwać, choćby kosztem największych ofiar!

Świadomość obowiązku obywatelskiego i ukochanie idei kazały obrać tę drugą ewentualność, aby zaś ją spełnić, musieliśmy po zupełnem wyczerpaniu zasobów własnych sięgnąć do gotówki rezerwowej — z funduszu Wystawy łowieckiej w Wiedniu, a niebawem zapożyczyć ją z funduszu budowy Ołtarza św. Huberta, uszczuplonego wspomnianą już ofiarą 2000 K na Legiony.

Równocześnie, wszelkimi możliwymi sposobami nawoływaliśmy członków G. T. Ł. do niesienia pomocy zagrożonemu Towarzystwu, domagając się zapłacenia zaległych wkładek, ogłaszając komunikatami w prasie codziennej, jako szerzej niż „Łowiec" się rozchodzącej, że istniejemy. I tu — co już zakrawa na prześladowanie — bróździła nam cenzura rosyjska, konfiskując te komunikaty, ku prawdziwemu zdumieniu nietylko nas samych, ale i odnośnych redakcji.

Dopiero przypadkowo dowiedzieliśmy się, że przyczyną tego było odsłanianie zakazanego istnienia „Towarzystwa".

Trzeba zatem było zrezygnować z nazwy „wkładek", a mówić o „prenumeracie", co znowu rodziło różne wątpliwości i nieporozumienia. Tym sposobem nawet te połowiczne środki zawodziły, a kasa Tow. opróżniała się coraz szybciej, — zaczem trzeba było zaciągać dalsze pożyczki w bankach.

Smutny stan finansów G. T. Ł. poprawił się nieznacznie dopiero po odbiciu Lwowa i częściowem oczyszczeniu Galicji wschodniej z nieprzyjaciela.

To też, korzystając z pierwszego uruchomienia poczty i pozyskania częściowej łączności z naszymi

Na niedźwiedzia.

(Ciąg dalszy).

Cały obraz, mimo siarczysty mróz, ścinający oddech, mimo martwoty, ma w sobie coś nad wyraz pełnego życia, wesołego i ruchliwego. Prawda, że patrzę oczyma myśliwego, na którego czeka w ostępie niedźwiedź, a ci ludzie, mają mi niedźwiedzia napędzić.

Kiedy stanęliśmy, koń u sanek zarżał witając. Wszystkie twarze zwróciły się ku nam i odkryto głowy.

Z tłumu wysunął sia mój znajomy od wczoraj, Seńko, pierwszy osacznik, specjalista i mistrz w swoim rodzaju, ubrany w łapcie i czapkę z gwiazdką; podszedł, aby nam dopomódz wysiadać z sani. Nie czekając, zrzuciłem futro i podszedłem słuchać, co mówi z nim gospodarz.

— No i cóż, będzie?

— Jest, spit.

— Stary, duża sztuką?

— Duża, czapką śladu nie nakryje.

Rzecz stawała się coraz więcej interesującą, i zbliżał się epilog; czułem to doskonale. A ta obława! te twarze, te typy! Brodate wszytko, zarosłe po oczy; duże chłopy, sami dorośli, w fałdowanych kożuchach, jak spódnice, w czapkach na uszy i w łapciach, jak Seńko.

Niektórzy mieli strzelby i nosili całe muzeum broni palnej, od stu lat używanej. Pojedynki z lufą na półtrzecia łokcia. podwójne pistonówki, powiązane drutem i pookręcane sznurkami, stare muszkiety, przerobione ze skałkowych, pamiętające najście Francuzów, pistonowe karabiny, jakich przed 50 laty używała piechota. Jeden z obławników, tęgi, ryży chłop z zafrasowaną twarzą, szukał czegoś, grzebiąc w śniegu.

— A czego on tak szuka? — zapytałem Sieńki.

— Ech, nic, sztuka (kurek) mu od strzelby zginęła.

Wszyscy, bez wyjątku, mieli za pasem topory. Ten szczegół zastanowił mnie szczególnie i powiem — mile połechtał mą wyobraźnię. Gdyby to jeden, dwóch przyszło z toporami, możnaby pomyśleć, że tchórz ich obleciał. Ale tu wszyscy, starzy i młodzi, wystąpili zbrojno. Więc te topory mogą być potrzebne, skoro je wszyscy przynieśli.

Patrząc na obławę, widziałem, że nawzajem przybysza ciekawa, że mnie sądzi i krytykuje. Zresztą ani na chwilę nie miałem złudzenia. Przegląd mej osoby i mego rynsztunku nie wypadł korzystnie. Szczególniej-

delegatami i członkami, rozwinęliśmy żywą działalność, celem powiadomienia ich, że oparliśmy się skutecznie wojnie i inwazji, że istniejemy i wydajemy nieprzerwanie „Łowca“, drukując go dla wszystkich członków.

Komunikaty o tem zamieszczaliśmy przez szereg miesięcy w całej prasie krajowej, a ich skutkiem — jak dotychczas — zgłoszenie się około 600 członków.

W porównaniu ze stanem przedwojennym nie jest to nawet połowa — i na tej liczbie Towarzystwo oprzeć się trwale nie może, zwłaszcza, że drożyzna powszechna zaciążyła i na naszem wydawnictwie, pomnażając kilkakrotnie jego koszty.

Nie ustawaliśmy zatem w ciągłem nawoływaniu do płacenia wkładek, do zgłoszenia adresów, do podjęcia pracy na zniszczonych terytorjach łowieckich, do nadsyłania sprawozdań i korespondencji, słowem do przywrócenia normalnych stosunków.

Niestety, rozmaite okoliczności stanęły na przeszkodzie w zebraniu plonu tych zabiegów. Przedewszystkiem niedomagania poczty, spowodowane wojną i wstrzymywaniem co pewien czas wszelkiego ruchu,— przewlekały albo całkiem uniemożliwiały komunikację listową; przysłowiowa zaś obojętność słowiańska i odkładanie wszystkiego na jutro—miały także udział znaczny w ogólnej sumie zaprzepaszczonych urgensów.

Niepodobna przytem pominąć milczeniem, że biuro G. T. Ł. wobec wyjazdu b. redaktora, w maju 1915 roku, przy równoczesnem zamieszaniu spowodowanem wojną, musiało ucierpieć na wydatności w pracy, spoczywającej od tego czasu niezmiennie na barkach wiceprezesa i wiernego Towarzystwu taksamo w niedoli — jak przez lat 10, — współpracownika p. St. F. Rossowskiego.

W toku pomienionych tu zajęć upłynęły pierwsze miesiące po odbiciu Lwowa, — a jak z tego, cośmy przytoczyli łatwo wywnioskować, stan funduszu G. T. Ł. polepszył się tylko nieznacznie.

Ratowaliśmy się więc w dalszym ciągu pożyczkami, ale sposób ten, obciążający odpowiedzialnością za ich spłatę jedną tylko osobę urzędującego wiceprezesa, byłby wreszcie zawiódł, gdyby nie zapobiegliwość i energja wiceprezesa Jul. Al. hr. Bielskiego, który, wróciwszy do kraju, podjął osobiście żywą akcję ratunkową.

Na podobieństwo symbolicznej pszczółki,— zabrał się skrzętnie jak ona — przedewszystkiem do ściągania wkładek od członków, spotykanych przygodnie w Kasynie narodowem, w podróży, w Krakowie, w Białej, Wiedniu i Karlsbadzie, a drobne te kwoty przyniosły K 924.

Następnie przenosi swe gorliwe zabiegi na szerszą arenę, składa sam bezprocentową pożyczkę i skłania do niej innych wybitniejszych myśliwych, którzy szczerze do naszego Znaku przywiązani, pośpieszyli z wydatną pomocą w tejsamej formie.

Dla upamiętnienia tego znamiennego w historji G. T. Ł. faktu i gwoli pokwitowania w „Łowcu“ otrzymanych kwot, przytaczamy nazwiska naszych szlachetnych wierzycieli. Przodem — jak zawsze — idą dzielni towarzysze „Lisowickiego Zakonu myśliwskiego“, ze swym prezesem na czele:

---

szą uwagę i brak zaufania budził w tych leśnych wilkach, mierzących wartość broni wielkością wylotu, mały kaliber sztucera, branego przez nich za gładką ptaszniczkę, i kordelas, który, zgodnie z tradycją, przypiąłem do boku, idąc na królewskiego zwierza.

Ostatnie przygotowania i rozmowy nie trwały długo. Słyszałem, jak pan T. półgłosem mówił do osaczników:

— A na pana (na mnie) musi wyjść, on z daleka przyjechał — i odpowiedź Seńki:

— Nie znaju, postaramy się.

Zaczęto się zbierać. Obława ze strażą wyciągnęła się sznurem na drodze, którą przyjechaliśmy przed chwilą, i ruszyła torem, pozostawionym przez nasze sanie. Droga spuszczała się w dół, więc widziałem ich długo, jak ciemną plamą pełznęli po śniegu; zaczernieli parę razy na zakrętach, aż utonęli w białych gąszczach. Przy ogniskach zostały konie, my, Seńko, który znał „numery“, i dwóch ludzi, strzegących sani.

Strzelb było tylko cztery. Pan T., ja i dwóch myśliwych miejscowych *pour décorer le tableau.* W pół godziny może po wyjściu obławy Seńko dał znak, że czas już i na nas. Musiało być blizko południa, bo słońce wyjrzało nad las i zalewało nas potokami światła. Rzuciłem papierosa i ruszyłem za Seńką, otwierającym szereg. Pół wiorsty szliśmy gęsiego torem, którym przeszła obława, potem, skręciwszy w prawo, zanurzyliśmy się w dość rzadki, wysokopienny las, gdzie nie było już ani drogi, ani toru, tylko głęboki śnieg, sięgający powyżej kolan. O trzysta kroków może od drogi pozostał, kryjąc się za zawalą, jeden z miejscowych myśliwych. W chwilę potem osacznik zatrzymał się i panu T., idącemu za mną, pokazał na śniegu tropy. Ślad był podobny do ludzkiego, mocno zatarty sypkim śniegiem. Był to trop, który pozostawił nasz niedźwiedź, wchodząc do ostępu, zajmowanego przez obławę.

Dla mnie głęboka brózda, wyorana w śniegu nie przedstawiała nic charakterystycznego; nie poznałbym nawet, czy to zwierz, czy człowiek tędy przechodził. Pan T. jednak, popatrzawszy na trop, szepnął do mnie:

— Gruba sztuka, ze dwanaście pudów.

Dziesięć kroków od tropu Seńko przystanął znowu, spojrzał dokoła i pokazał mi gruby, pojedynczy świerk. Zrozumiałem. To tu!

Odłączyłem się od naszej gromadki i zostałem sam.

— — — — — — — — — — — —

Bielski hr. Juljusz Aleksander .	K 1500
Czarkowski-Golejewski Cyryl .	„ 1000
Garapich Władysław . . .	„ 500
Jędrzejowicz Tomisław . .	„ 500
Kiełczewski Stanisław . . .	„ 500
Marmaross Kazimierz . . .	„ 500
Rozwadowski Tadeusz, Ekscel. .	„ 500
Tarnowski hr. Juljusz . . .	„ 500
Wodzicki hr. Antoni Kazimierz .	„ 500

Niemniej ofiarnie i hojnie zapisali się w księdze naszych wierzytelności:

Potocki hr. Alfred (ordynat) . .	„ 3000
Tustanowski Stefan . . .	„ 1000
Mycielski hr. Stanisław . .	„ 1000

Tak więc akcja rozpoczęta przez hr. Bielskiego, poparta powszechnem zrozumieniem i życzliwością wyżej wymienionych, przyniosła razem . . . . K 11.000

Zonotować wreszcie musimy z najwyższą wdzięcznością i uznaniem okoliczność, że z datkami bezzwrotnymi, ofiarowali się samorzutnie pp. Rylski Eustachy i Jaśkiewicz Stanisław, którzy nadesłali po K 100.

Ogólne zestawienie kwot dłużnych, po doliczeniu do powyższych . . . . K 11.000
pożyczek wekslowych, wynoszących . „ 6.833
i pożyczki z funduszu budowy ołtarza św. Huberta . . . . . . „ 6.000
daje sumę . . . . . K 23.833
na której pokrycie, oprócz majątku Towarzystwa w inwetarzu, bibljotece etc, wykazują księgi zaległe wkładki członków, ściągalne w myśl postanowień statutu, ewentualnie nawet drogą sądową, — po odliczeniu 20% t. j. 6.820 koron na przepadłe — K 30.000

Zaczem stan czynny majątku G. T. Ł. wyraża się kwotą K 6.167.

Jakkolwiek więc nadzwyczajna w swych skutkach zapobiegliwość wiceprezesa hr. Bielskiego i do najwyższej wdzięczności obowiązująca ofiarność wymienionych tu myśliwych, uchyliły bezpośrednie niebezpieczeństwo, to jednak koniecznem jest nietylko jak najrychlejsze wyegzekwowanie zaległych wkładek, ale i stworzenie nowych źródeł dochodu. Pierwsza czynność jest w pełnym toku w biurze Administracji naszego pisma, co zaś do drugiej, — to Wydział G. T. Ł. podniósł wkładkę członka na kor. 20·— rocznie, co wobec niesłychanego i powszechnego podrożenia rzeczy wszelakich — jest aż nadto uzasadnione.

W trosce dalszej o zrównoważenie zachwianych podstaw materjalnych naszego Towarzystwa, przed którem otwiera się nadzwyczajnie ciężka i wytężająca praca około odbudowy zniszczonego wojną łowiectwa, — zakołatało Prezydjum także i o słusznie się nam należącą pomoc Rządu.

Myśliwi nasi ponieśli wspólnie z resztą obywateli wszelkie ciężary i ofiary wojny, przyjęli bez szemrania włożone na nich obowiązkowe odstrzały zwierzyny w celach aprowizacyjnych, znosili cierpliwie samowolę myśliwych nieuprawnionych, poddali się przymusowym konfiskatom broni, — słowem odczuli wojnę w całej

---

Na stanowisku. Na stanowisku na niedźwiedzia! Trzeba być myśliwym, trzeba mieć tę namiętność w każdej kropli krwi i w każdym nerwie, aby odczuć, ile w tych słowach mieści się czaru, ile uroku, ile one rodzą nadziei, jakich obrazów budzą wspomnienia.

Niedźwiedź — dla większości myśliwych europejskich zwierz legendowy prawie, którego przyszłe pokolenia znać będą tylko z podania; zwierz, o którym, jak o żelaznym wilku, krążą wśród ludu baśnie; zwierz, którego zdobyciu największy nasz poeta poświęcił pieśń całą, wreszcie zwierz, który potrafi być groźnym i srogo karać śniałka, sięgającego po jego życie, śpi ot gdzieś w pobliżu, w swym barłogu zasypanym śniegiem, nic nie przeczuwając. A człowiek, istota, w porównianiu z tym królem lasu nędzna i słaba, ufny w broń, która mu towarzyszy, i w swoją zimną krew, czyha na niego i, przyczajony zdradziecko, czeka. Z głębin zaśnieżonego ostępu idzie na myśliwego tajemnica, gra wyobraźnia, aż w skroniach tętni i mrówki chodzą po skórze. Będzie, czy nie będzie?! Czy zobaczę go chociaż?! Czy śmierć, która mieszka w stalowych lufach sztucera, wyjrzy z nich tym razem na świat Boży? Aż dotąd myśliwy pozostawał pod wpływem otoczenia, które nim kierowało, z którem dzielić musiał uczucia i nadzieje. Dopiero na stanowisku, pozostawiony sam sobie, przechodzi do roli prawdziwie czynnej i zaczyna być pod wrażeniem chwili, któremu może oddać się zupełnie.

Zaczynają się przedziwnie ponętne chwile oczekiwania, któremu uroku dodaje poczucie pewnego hazardu i nieświadomości tego, co czeka nas w najbliższej przyszłości, czegoś, co obrachować się nie da, a w czem kapitalną odgrywać mamy rolę. Urok tej niepewności potęguje się jeszcze stokrotnie, jeśli zwierz, na którego czekamy, bywa groźnym, albo za takiego uchodzi. Na pamięć przychodzą zasłyszane niegdyś przygody, widziane obrazy stają przed oczami i rodzi się jakby głuche, dalekie uczucia pewnego niebezpieczeństwa, z którem spotkać się możemy. Zdarzało się innym, dlaczego nie miałoby się przytrafić i nam. Gotowym trzeba być na wszystko! Ach! byle się tylko przytrafiło, byle zwierz na mnie wyszedł. Na rozmyślania zresztą już niema czasu, epilog nadchodzi szybko i rozwiąże się lada moment. To, co tak starannie przygotowaliśmy tygodnie całe, to, o czem myśleliśmy w ciągu ostatnich dni, rozstrzygnąć się ma za chwilę w przeciągu kilkunastu, może kilku sekund. Trzeba więc, ażeby teraz właśnie nie zawiodła nas przytom-

jej bezwzględności, obowiązkiem więc Rządu jest udzielenie im pewnego, bodaj częściowego ekwiwalentu, tem więcej, że zwierzyna, ta część naturalnego bogactwa krajowego, domaga się taksamo odbudowy, jak rybactwo, pszczelnictwo i inne pokrewne gałęzie gospodarki rolnej i lasowej.

W tym duchu wniosło Prezydjum Tow. osobiście wyczerpujący memorjał do Centrali odbudowy kraju, na ręce namiestnika, domagając się subwencji i stałego corocznie na wydawnictwo „Łowca“ zasiłku.

Pomyślne załatwienie tej sprawy mamy przyrzeczone.

Obok tych wszystkich trosk materjalnych, nie oszczędził nam los i wzruszeń moralnych, czyniąc bolesne szczerby w szeregach naszej drużyny!

Zapisaliśmy w ciągu wojny śmierć najwznioślejszego wzoru i przykładu dla wszystkich, myśliwego z pośród najmożniejszych i najpierwszych tego świata — cesarza Franciszka Józefa I, a także zgon naszego członka honorowego, największego mocarza mowy naszej i piewcy nieporównanego górnej przeszłości naszej, Henryka Sienkiewicza.

Prócz nich, opuścili nas na zawsze śp.: Eksc. Stanisław hr. Stadnicki, myśliwy w każdym calu, najdzielniejszy ogromnych zasług prezes G. T. Ł. i założyciel „Myśliwskiego Zakonu Lisowczyków“; eksc. Roman hr. Potocki, członek honorowy, który 20 lat jako nasz prezes sterował nawą G. T. Ł.; Fedorowicz Adam, Ludwig Jan, Łysakowski Leopold, Mátyás Karol Dr., Mniszek Władysław, Rudziński Erazm, Sander Robert, Schechtel Władysław, Stojowski Jan Kanty, Szembek hr. Stefan.

Cześć Ich Pamięci!

Pomni obowiązku czuwania nad sprawami bieżącemi, nie spuszczaliśmy też i ich z oka, więc broniliśmy i bronimy nieustannie łowiectwo przed rozmaitemi przeciwnościami, na jakie czasu wojny jest narażone.

Liczne nasze pisemne u władz, lub osobiste przedstawienia u namiestników wydawały często zbawienne owoce; jeżeli zaś mimo to nie wszędzie udało się wprowadzić ład i porządek, to jedynie dlatego, że poszkodowani, nieświadomi ducha ustaw, poddają się zbyt biernie nadużyciom.

Dbałości o członków naszych, dowiedliśmy także i tem, że kosztem długich pertraktacji i starań, udało się nam uzyskać w ministerstwie 5 wagonów ołowiu na śrut dla Galicji, oraz doprowadzić do skutku powszechne ubezpieczenie członków naszych od wypadków osobistych na polowaniu i od odpowiedzialności prawnej z wypadków wynikających, za minimalną opłatą roczną K 20·—

Przedkładając więc w streszczeniu sprawozdanie z czynności Prezydjum i Wydziału, w niezwyczajnie ciężkich warunkach materjalnych i wojennych, — oczekujemy jedynej nagrody w tem — że i Członkowie nasi dołożą ze swej strony starań, abyśmy dopłynęli pomyślnie do utęsknionej doby pokoju, w której, da Bóg — rozpoczniemy naszą pracę w Wolnej, Całej i Niepodległej Ojczyźnie!

J. Al. hr. Bielski, *Seweryn Krogulski* (sprawozdawca).

---

ność i zimna krew.

I raz jeszcze zaglądamy do sztucera, czy ładunki są napewno w lufach, sprawdzamy, czy kurki odwiedzione. Gorące westchnienie niesie prośbę naszą i składa ją kornie u stóp św. Huberta. A jednak! Te wrażenia takie silne, takie wzruszające dla myśliwego, są wprost niezrozumiałe dla ogółu. Dlaczego narażać swą skórę i kostnieć na trzaskającym mrozie, kiedy czas ten spędzić można spokojnie i bezpiecznie w domu, przy kominku? Wszak nie idzie tu o skórę, ani mięso, które taniej i łatwiej kupić można, niż zdobywać samemu. Zapewne. Czyż jednak turyści nie wdzierają się z narażeniem życia na górskie szczyty, ażeby widzieć stamtąd wschód słońca; czyż ludzie nie odbywają uciążliwych, dalekich podróży jedynie dla zobaczenia nowych widoków? Iluż to wreszcie trawi noce całe przy zielonym stoliku, czekając na piękną „koronkę“ i rozgrywając z bijącem sercem niepewne „szlemy“, choć obojętną im jest różnica kilku czy kilkunastu rubli. Wszak ani jednym, ani drugim o stronę materjalną nie chodzi, i „nie przyjdzie im z tego nic“. Ci i tamci chcą tylko wrażeń, budzących nerwy, uśpione szarem, codziennem życiem. Nie chęć zysku, lecz pewien rodzaj romantyzmu, drzemiącego w duszy najzakamienialszych filistrów, i stare, jak świat, upodobanie do przygód i hazardu dało początek grze, turystyce i sportom. Co z tego najwięcej warte? To sprawa sentymentu, a ten dyskusji nie podlega. Woli jeden szlema, inny niedźwiedzia.

Lecz na co to pisać! Myśliwych nawracać nie potrzeba — filistrów nie przekonam.

Wracam co prędzej na stanowisko pod świerk, pod którym zostawili mnie Seńko i pan T. Nigdy może piękniejsza panorama zimowego krajobrazu nie ucieszyła oczu myśliwego; nigdy stanowisko nie wydało mi się więcej obiecującem.

Stałem na skraju starego lasu, nad brzegiem głębokiej kotliny, która jak okiem sięgnąć, leżała przed stanowiskiem. Z mego miejsca, 150 kroków może na prawo, widziałem drzewo, przy którem został pan T. Czarne lufy sztucera wyjrzały z za pnia, za którym krył się myśliwy, i sterczały ku ostępowi. Las za nami i na spadku kotliny był rzadki, bez podszycia, zarośnięty grubymi, pojedyńczymi świerkami. O jakie ośmdziesiąt kroków dopiero od stanowiska, już w dole, w kotlinie, zaczynał się nagle, jak biała ściana, nizki zwarty gąszcz, przykryty śniegiem. Stanowiska leżały wyżej, niż zarośla, więc wzrok, nie zatrzymywany ni-

Zamknięcie rachunków funduszu Gal. Tow. Łowieckiego za r. 1917.

L. p.	DOCHODY	K.	h.
1	Zapas kasowy z 31. grudnia 1916 .	213	37
2	Wpisowe od nowych członków . .	297	—
3	Wkładki członków	7246	—
4	Księgarnie za prenumeratę	87	—
5	Inseraty w „Łowcu“	1690	—
6	Za odznaki członków i delegatów	235	70
7	Nadzwyczajne i przebieżne (pożyczki)	9004	40
8	Zwrot kosztów pocztowych	144	25
9	Zwrot pobranych zaliczek (poz. 18. wydatków)	450	—
	Razem . . .	19367	72

L. p.	WYDATKI	K.	h.
1	Druk „Łowca“	2940	—
2	Inne druki	6	—
3	Redakcja „Łowca“ i sekretarjat . .	3750	—
4	Aministracja i kontrola rachunkowa	3250	—
5	Korekta	480	—
6	Honorarja autorów	120	—
7	Ilustracje	27	—
8	Koszta pocztowe i wysyłki „Łowca“	558	59
9	Kursor i usługa	1060	—
10	Czasopisma łowieckie	31	25
11	Bibljoteka	1	10
12	Czynsz za lokal	600	—
13	Ryczałt kancelaryjny	300	—
14	Nadzwyczajne i przebież. (zwrot poż.)	5221	96
15	Inwentarz	33	—
16	Kupno odznak	225	—
17	Prowizja za anonse	100	—
18	Zaliczki pobrane (poz. 9 dochodów)	450	—
19	Pozostałość kasowa na dalsze wydatki	213	82
	Razem . . .	19367	72

Sprawdzono i uznano za zgodne z księgami i dokumentami.

KOMISJA REWIZYJNA:

H. Weissgerber. *Fel. Keycha.*

Preliminarz dochodów i wydatków Gal. Tow. Łowieckiego na rok 1918.

L. p.	DOCHODY	K.
1	Wpisowe członków	500
2	Wkładki członków	16000
3	Księgarnie za prenumeratę	200
4	Inseraty	1200
5	Odznaki członków	500
6	Nadzwyczajne i rozmaite	500
	Razem . . .	18900

L. p.	WYDATKI	K.
1	Druk „Łowca“	4320
2	Inne druki	100
3	Redakcja „Łowca“ i sekretarjat . . .	4500
4	Administracja i kontrola rachunkowa .	3900
5	Korekta „Łowca“	480
6	Honorarja autorów	100
7	Ilustracje	200
8	Koszta pocztowe i wysyłki „Łowca“ .	900
9	Kursor i usługa	1200
10	Czasopisma łowieckie	100
11	Bibljoteka	100
12	Czynsz za lokal	850
13	Ryczałt kancelaryjny	400
14	Nadzwyczajne i rozmaite (opał, światło)	1000
15	Nagrody im. J. hr. Potockiego dla straży	120
16	Inwentarz	100
17	Premie Tow. Wz. Ubezp. urzędników prywatnych	530
	Razem . . .	18900

Zatwierdzono na posiedzeniu Wydziału z dnia 3. lutego 1918.

za Prezesa: **Jul. Al. Bielski.** *wiceprezes.*

Wiceprezes: **Sew. Krogulski.** *referent.*

Z Karpat.

Zrządzeniem, które zawsze błogosławić będę, jestem chwilowo ponownie nad Czeremoszami, w Hryniawie — ciepłej jeszcze po inwazji rosyjskiej.

Znane odcinki frontu „Ludowa—Ożirny—Baba ludowa“, gdzie hekatomby w ludziach i koniach składali Moskale, należą do tutejszych połonin.

* * *

Odległy huk dział, aż gdzieś z za Bojana, swem echem łączyły góry jakby w grzmoty oddalającej się burzy.

Niechby już więcej nie przyszła!

Smutną była jej spuścizna!

Cudne, wonne macierzanką Karpaty poryte od rowów, granatów i min, a święte miejsca, które dawniej przenikał myśliwy na palcach i z lękiem, by śpiących głuszców nie budzić, mija dziś z innem drżeniem — kryją groby tysięcy.

Gdy burza odeszła, cóż dziwnego, że ściągnęły na kilka tygodni nocne drapieżce z całej okolicy, z Bukowiny i Węgier — ci straszni grabarze.

* * *

Połoniny Hostów i Pryłuczny, każda o potężnym zwale w zwyż półtora tysiąca metrów, ujmują głęboką knieję Moskatyn.

Z końcem września szedł nad nią spokojny księżyc sięgając aż do mnie, na dno kotliny. Promienie znaczyły mu się w oparach stygnącej nocy jak struny srebrnej praarfy; wijąc się przez nie dziwne postacie ze strzępów gęstej mgły górskiej, trącały w niesamowite nastroje — rzekłbyś, że dusze moskiewskie niewinnie tu umęczonych, spieszą ku górze, nim zadnieje. Może były mi wdzięczne, że pilnuję teraz ich uroczysk; dość, że kojący spokój szedł od nich.

Zacząłem odczuwać, że niedźwiedź ani lis nie przyjdą tej nocy niepokoić ich ohydną swą gospodarką — pora ich minęła, księżyc bladł, warta moja, na dziś, kończyła się.

* * *

Jeszcze szaro było, gdy zjawił się Nykoła, jakby zaglądając czy żyję jeszcze. Kazałem mu zrobić sobie ognisko parę kilometrów stąd ku Czeremoszowi, w lesie i tam czekać przy Krąglakowej drodze; czego więc chciał? Minę miał taką, że musiałem się spytać co mu się stało.

Oto wczoraj, gdy szedł upatrzyć miejsce na ognisko i nocleg — zamyślił się; nagle, gdy był niedalej ztąd jak na kilometr, poczuł otwarty dół, równocześnie doszedł jego uszu chrupot kości i mruk niedźwiedzi, tłumione dotąd potokiem; zmartwiał zoczowszy całą ich gromadę, tuż przy drodze w lesie. Było ich ze siedm sztuk, a wtem małe i trzy wielkie.

On przywarł do drzewa, ale już stara widocznie

---

czem, biegł daleko, aż do ciemnej linji starodrzewia, czerniejącej o kilkaset kroków i tajemniczo zamykającej widnokrąg. Zarośla w kotlinie były tak zwarte, warstwa pokrywającego je śniegu tak jednolita, że, widziane z góry, robiły wrażenie obszernej, białej równiny, usianej kopcami śniegu, leżącego na gałęziach starszych drzew, sterczących pojedynczo nad krzakami i młodzieżą. Zresztą nic, tylko śnieg i śnieg, zalany słońcem. Świat zdawał się składać tam z trzech żywiołów tylko: ze śniegu, ze światła i ze spokoju. Żadnego śladu życia, żadnego ruchu na ziemi, ani w powietrzu, żadnego głosu, tylko światło, cisza i białe, martwe masy śniegu. Pojęcie mrozu i zimy stawało się tu czemś plastycznem, czemś widzialnem, prawie że dotykalnem. W powietrzu migotały i skrzyły się w słońcu ledwie dostrzegalne igiełki lodu. Z przeciążonych gałęzi zsuwał się niekiedy kłąb śniegu, i, rozsypany w puch, miękko spływał na ziemię.

W kontemplacji tej jednak i w mych zachwytach przeszkadzało mi żywo uczucie zimna, dającego mi się we znaki coraz silniej. O ile „w sobie“ było mi dość ciepło, o tyle marzły mi strasznie twarz i nogi. Palców wprost nie czułem, a w piętach miałem uczucie wkręcanych świdrów. Policzki i czoło bolały mnie jak przy najsilniejszej newralgii. Nie było to już uczucie zimna, lecz wyraźny, silny ból. O utrzymaniu broni w rękach nie mogło być mowy, bo, mimo rękawiczek, kostniały natychmiast. W końcu zrzuciłem rękawiczki, sztucer wziąłem pod pachę i gołe ręce wsudo mufki. Stałem jednak, pamiętny przestróg p. T. i Seńki, nieruchomo, choć czułem, że wprost z bólu nie wytrzymam długo w ten sposób

C. d. n.



dała sygnał i wszystko z pomrukiem cofnęło się w las w moim kierunku; jeden tylko tułuk wspiął się na smrekę, ale stara zwołała go i dała mu klapsa, aż skoziołkował. Niedźwiedzi było tyle, a przytem w lesie już ciemno, że Nykoła nie śmiał strzelić. Daleko, na dole, nocował ubezpieczony ogniem, a teraz chciał mię widzieć czy nie miałem z niemi spotkania, bo ich „za mnoho" było, jak się wyraził kończąc swą sprawę.

Idąc ku wskazanemu przez Nykołę miejscu, znalazłem na wilgotnej ziemi rzeczywiście liczne świeże odciski łap niedźwiedzich, z których parę imponującej szerokości.

* * *

Oddawna już tkwiłem na krawędzi drogi, na wprost rozgrzebanego dołu, przy którym niedźwiedzie Nykołę tak przycisnęły.

Księżyc w zaniku, nie zeszedł jeszcze; nie mówiąc już o bezpośredniem otoczeniu dołu pod drzewami, nawet droga ujęta w wysokie świerki obustronnej kniei, już niewidniała. Noc tajemnicą okryła wszystko, — potok szeptał, to stłumionym głosem coś mówił, zresztą cisza bezwzględna.

Właściwie nie miałem zamiaru tak długo wartować; wczoraj były niedźwiedzie już o szarej godzinie, dzisiaj musiały być gdzieindziej zajęte; zresztą, gdyby nawet i teraz nadeszły, cóżby mi pomógł i mój trójkulowiec, skoro poza drogą stał czarny mur i na krok nic widać nie było. Mając odpowiednią broń i tryplętę można zrobić, ale na to trzeba przedewszystkiem widzieć; jeżeli zaś miało się ewentualnie conajmniej z trzema grubemi sztukami do czynienia, nie dalej, jak na kilka kroków, z tem, że wypadkiem tylko można którąś na miejscu położyć, to — niedźwiedzie miały znacznie większe szanse wyjścia cało z tego spotkania, niż ja.

Obrachunek ten przerobiłem w myśli dokładnie; a jednak — władza ciemności i bezwzględnego spokoju bywa tak silną, że przykuła mię do miejsca, mimo, iż odczuwałem całą drastyczność pozostawania.

Bojan nawet milczał; więc chwilami słyszałem puls własny i nie wiedziałem jak skończyć z niedającem się znieść dłużej napięciem.

Idą! podała mym uszom Kraglakowa droga; tak, drzewo nader jest dobrym przewodnikiem; ale znowu długa chwila upłynęła, nic nie przynosząc; to był majak akustyczny, — znowu słychać, — idą stanowczo!

Ścisnąłem potężną broń, głowę wychyliłem nad drogę, oczy wbiłem w ciemną przestrzeń — ale nic nie było w stanie jej przebić do tyla.

Ucho jednak nie myliło; tak, szła cała czereda, dla bezwzględnej ciemności, drogą — czasem kraglak któryś, jak klawisz ruchomy, pod ciężarem zadzwonił — wtedy wszystko cichło — i wydawało się złudą. Znowu coraz wyraźniej słyszałem szłapanie licznych miękkich stóp; szły wolno, noga za nogą, nasłuchując. Więc szły naprawdę; — zdałem sobie sprawę co może być za chwilę, instynkt podał mi błyskawicznie co w życiu było mi drogie — i cały oddałem się sytuacji.

Wtem ostro „Stój!" krzyknąłem — na kilka kroków przedemną zamajaczyły cztery smukłe cienie; nagła moja komenda uderzyła w nie, aż się ugięły i stanęły jak wryte, — i były znowu cisza; dziwna, tylko przyśpieszone oddechy liczyłem — aż wyszedł ku mnie półszept, półjęk, — w miękkim rosyjskim języku — „my głodni, Panie!"

Hryniawa, XI 1917.

Dr. W. B.



Instynkt i inteligencja u zwierząt.

(Dokończenie.)

Przejdźmy teraz do zwierząt mięsożernych tj. do psów i kotów. Dla dzikich ich przodków życie ich nie było łatwem; żeby zdobyć sobie pożywienie, nie dość było schylić głowę, należało wyśledzić, schwytać i pokonać ofiarę, która umiała się ukrywać, uciekać, a często i bronić. Do tego nie wystarczał sam instynkt; potrzeba było ciągłego natężania władz umysłowych i umiejętności korzystania z nabytego doświadczenia. Młode, trawożerne, od pierwszych prawie dni życia, mogą już żywić się roślinami, kierując się tylko instynktem w ich wyborze. Młode zaś drapieżniki przez dłuższy czas nie mogą się obejść bez opieki rodziców. Kiedy pokarm matki już im nie wystarcza, stare znoszą im do gniazda upolowane łupy i pomagają rozrywać je; następnie podrośnięte już potomstwo, stare biorą z sobą na wyprawy w celu zdobycia pożywienia i pod ich kierunkiem młode uczą się polować; dopiero gdy zmężnieją i nauczą się same sobie radzić, zaczynają żyć samodzielnie.

Te z nich, które są zdolniejsze do obmyślenia różnych podstępów, łatwiej zdobywają pożywienie, a przez to są silniejsze i zdolniejsze do rozpłodu. Tym sposobem zdolności umysłowe zwierząt drapieżnych musiały stopniowo rozwijać się.

Oswojenie przez człowieka psów i kotów odbyło się także w inny, a nie taki, jak trawożernych, sposób. Był to z początkiem rodzaj dobrowolnego związku dla osiągnięcia wspólnych korzyści. Psy wypędzały z ostępów i prześladowały pościgiem wielkie zwierzęta, które człowiek zabijał z zasadzki, poczem część łupu pozostawiał na pastwę psom. Te więc, dla własnej korzyści, trzymały się blizko człowieka, który ze swojej strony nie robił im krzywdy i chętnie dzielił się z łupem, wspólnie zdobytym. Przymierze to zacieśniało się coraz więcej, aż dopóki, po długim szeregu pokoleń, psy nie przeszły stopniowo, za opiekę i strawę, na stałych towarzyszy człowieka. Jako dowód, że oswojenie psów odbywało się tą mianowicie drogą, służyć mogą na pół oswojone psy Dingo, włóczące się za australskiemi plemionami i pomagające im w polowaniu na kangury. Ale i po zupełnem oswojeniu, człowiek nie zmuszał psa do czynności, przeciwnych jego naturze; wyzyskiwał tylko jego wrodzone popędy, rozwijając je jeszcze bardziej przez dobór i tresurę.

Czy to na polowaniu, czy przy stróżowaniu stad lub domów, psy działają samodzielnie, kierując się nietylko instynktem, ale i doświadczeniem i rozwagą; to też i inteligencja psów nietylko nie zmiejszyła się przez oswojenie, ale, przeciwnie, rozwinęła się, dzięki przyjacielskiemu stosunkowi i obcowaniu z ludźmi. W podobny sposób nastąpiło udomowienie kotów.

Wpośród nagromadzonych plonów pracy ludzkiej, rozmnażały się w ogromnej ilości różne drobne gryzonie, będące ulubionym pokarmem kotów. To też koty, znajdując obfite pożywienie w pobliżu człowieka, zbliżały się chętnie do jego siedzib, on zaś, zrozumiawszy swą korzyść z takiego zbliżenia, nie prześladował kotów, lecz, przeciwnie, otaczał je opieką. Stosunek ten, stając się coraz bardziej przyjacielskim, zakończył się zupełnem udomowieniem kotów, które jednak, ze wszystkich zwierząt domowych, zachowały najwięcej niezależności. Żyją one razem z ludźmi, łowią myszy i szczury, o ile mają do tego sposobność, ale nie znoszą żadnego przymusu, ani złego obchodzenia.

Jakkolwiek usługi, oddawane ludziom przez koty, są bardzo jednostronne i pożyteczność ich nie może być nawet porównywaną z pożytecznością psów, jednak bezstronne obserwacje wykazują, że pod względem inteligencji koty zupełnie nie ustępują psom, a wrodzonych instynktów zachowały najwięcej ze wszyskich zwierząt domowych.

Jeżeli porównywać będziemy stopień rozwoju instynktu i inteligencji u zwierząt jednego gatunku, lecz różnych ras, hodowanych w odmiennych warunkach, tak samo przekonamy się, że rozwój ten zależny jest od wpływów i pobudek zewnętrznych. Weźmy dla przykładu konie. Stepowe rasy koni, hodowane w stanie na pół dzikim, jak kirgizka, baszkirska i inne, zachowały prawie w zupełności instynkty odziedziczone, bez których nie mogłyby istnieć. Umieją one odgrzebywać z pod śniegu trawę, służącą im za pokarm, i wogóle mogą się prawie obchodzić bez opieki człowieka. W razie napaści wilków, tworzą one instynktownie zwarty pierścień, naokoło źrebiąt i koni słabych, zwracając się głowami do środka, a zadami na zewnątrz; tym sposobem są zabezpieczone od uchwycenia za gardło i mogą bronić się uderzeniami nóg tylnych. W inny zupełnie sposób są hodowane konie arabskie i berberyjskie. U tych koczowników źrebię, od samego przyjścia na świat, otoczone jest troskliwą opieką całej rodziny właściciela. Kobiety i dzieci pieszczą je i bawią się z niem, dzieląc się nieraz własną strawą; gdy koń dorośnie, Arab nie uważa go za bydlę robocze, lecz za towarzysza wypraw i polowań, płacąc za oddawane przysługi przywiązaniem i opieką. Taki system hodowli, stosowany od wielu pokoleń, wytworzył z koni arabskich i północno-afrykańskich, pomimo ich wrodzonego, ognistego temperamentu, rasę zwierząt łagodnych i przywiązujących się do człowieka. Znaczną część instynktów pierwotnych, jako w danych warunkach niepotrzebnych, zatraciły one; natomiast inteligencja ich rozwinęła się znacznie wyżej, niż u innych ras koni.

To samo, co o koniach, powiedzieć można o bydle rogatem i o świniach. Rasy stepowe bydła i świnie bułgarskie, serbskie i węgierskie, hodowane na pół dziko w lasach, mogą prawie zupełnie obchodzić się

bez opieki człowieka i nietylko, że bronią się solidarnie od napaści wilków, ale same atakują i odpędzają zauważonych nieprzyjaciół. Przeciwnie bydło i świnie, hodowane w oborach i chlewach, zatraca stopniowo ochronne instynkty, a inteligencja ich, wobec zaspakajania wszelkich potrzeb przez człowieka, także słabnie.

Pomiędzy psami dużą inteligencją odznaczają się wielkie psy pasterskie i z grupy ostrouchych, psy owczarskie. Pasterze i psy, pilnujące stad, większą część zycia spędzają jakby odcięci od reszty świata. Wspólna opieka nad stadem i przymusowa samotność, wytwarzają między człowiekiem a psem stosunek przyjacielski i łatwość wzajemnego porozumiewania się. Przy takich warunkach inteligencja psów nietylko nie osłabła, ale przez ciągłe obcowanie w szeregu pokoleń z istotami wyższemi, tj. ludźmi, musiała się rozwinąć.

Z innych grup, bardzo rozwinięte zdolności umysłowe mają spaniele, które niegdyś służyły do wynajdywania ptactwa przy łowieniu sieciami i przy polowaniu z sokołami, a obecnie używane bywają do wypędzania z gąszczy bażantów i słonek. Dużo zmyślności także posiadają terriery i pinczery, służące specjalnie do tępienia małych gryzoniów. Rozwój umysłowy spanieli, oraz pinczerów i terrierów, przypisać należy tej okoliczności, że jako pieski nieduże i pożyteczne, były one zawsze chętnie hodowane w mieszkaniach, a temsamem podlegały ciągłemu wpływowi ludzi.

Z pomiędzy ras powstałych przez krzyżowanie dużą inteligencję posiadają psy S. Bernarda i newfounlandzkie, jako pochodzące od wielkich psów pasterskich; pudle, pochodzące z krzyżowania psów pasterskich ze spanielami, i wyżły, których rasy powstały z krzyżowania psów gończych ze spanielami. Wszystkie wymienione rasy podlegają ciągłemu, przyjacielskiemu wpływowi ludzi. Najmniej inteligencji zdradzają rasy hodowane stale, od wielu pokoleń, w zamkniętych psiarniach i pozbawione przez większą część życia wolności, tj. charty i psy gończe. Ujemny wpływ hodowli w wielkich zamkniętych psiarniach na zdolności umysłowe psów, daje się nawet zauważyć na wielu wyżłach importowanych z Angli, gdzie system ten, przy hodowli na eksport, z konieczności musi być stosowany.

Jako najlepszy przykład wpływu zewnętrznych okoliczności na charakter i inteligencję psów, służyć może przetworzenie angielskich blood-houndów z psów gończych na domowe. Jak wiadomo, blood houndy pochodzą od dawnych psów św. Huberta, które powstały przez dodanie krwi dogów pierwotnym, afrykańskim gończym. Psy św. Huberta były silne, wytrwałe i odważne, lecz zarazem złe i niebiezpieczne dla ludzi. Kiedy następnie w zachodniej Europie, rozpowszechniły się inne, bardziej praktyczne rasy gończych, psy św. Huberta prawie doszczętnie wyginęły. Tylko niektórzy angielscy lordowie pozostawili u siebie tę rasę, lecz już nie jako gończą, ale domową. Zdaje się, że już po zdegradowaniu gończych św. Huberta na domowe, dodano im jeszcze trochę krwi mastiffów, dla powiększenia wzrostu i masywności, co mogło wpłynąć tylko ujemnie na ich charakter. A jednak sto lat bliskiego obcowania z człowiekiem i brak krwiożerczej praktyki na polowaniach, zmieniły zupełnie charakter blood-houndów i obecnie są to psy spokojne, łagodne i bardzo przywiązujące się do ludzi, a szczególniej do dzieci.

J. Sztolcman.



Nieco z balistyki myśliwskiej.

Odnośnie do strzału śrutowego.

Z zasady zamuję się mniej strzałem śrutowym, gdyż uważam go za surogat obniżający sport, dowód w każdym razie względnej naszej nieudolności w stosowaniu wszędzie kuli, mimo że technika już nam ją podaje dzisiaj w dostatecznie pod każdym względem rozległej skali działania.

Ponieważ jednak minął już aż 20-letni okres używania przezemnie ładunków śrutowych nieco odmiennej roboty jak powszechnie robione, przeto przypuszczam, że nadszedł czas, by się sprawą podźielić z bracią myśliwską.

Ładunek śrutu przytrzymywany w łusce tekturką, w chwili strzału zostaje przez gazy powstałe ze spalenia prochu, wypchnięty z lufy. Zadaniem tej, zakręceniem brzegu łuski umocowanej tekturki, jest nietylko przytrzymanie śrutu w łusce i związanie ładunku jako całość, ale także przyczynienie się do odpowiedniego oporu początkowego, tak aby pod nim spalenie prochu i stąd pełne wywiązanie się gazów nastąpiło prawidłowo.

Otóż przy normalnej lufie śrutowej cylindrycznego wiercenia, n. b. dobrze utrzymanej, niema powodu do przypuszczań, że powyższa funkcja tekturki śrutowej, we właściwy sposób, nie krzywo w ładunku umieszczonej, kryje w sobie, już podczas pędu w lufie, możliwość obniżenia wartości balistycznej strzału.

Inaczej jednak przedstawia się sprawa z momentem opuszczenia lufy. Oto śrut, wskutek swego tylekroć większego ciężaru gatunkowego, wybitnie lepiej zwalcza opór powietrza; tymczasem przy wylocie z lufy nie on to powietrze przecina, lecz nakrywająca go tekturka; ta zaś, jako lekka, po naporem powietrza traci swój pęd prawie natychmiast i, zwalniając, wpycha się między śruty, które dopiero zmógłszy i zostawiwszy ją za sobą, pędzą dalej swobodnie. Jasne, że ta działalność tekturki przyczynić się musi (niezależnie od wiercenia lufy) do prędszego rozluźnienia grupy śrutowej, niżby, to zrobił sam opór powietrza, i w następstwie, zepsucia obrazu strzałowego.

Od paru dziesiątek lat jesteśmy jednak pod wyłącznem prawie panowaniem wiercenia luf śrutowych lejkowego („chokebored“), które lepiej skupia strzał i balistycznie go poprawia.

Jeżeli już przy lufach cylindrycznie wierconych, aby scharakteryzować działalność tekturki śrutowej jako dla obrazu strzału balistycznie neutralną, a priori musieliśmy porobić liczne zastrzeżenia, np. że lufa musi być normalnie, tj. bez błędu cylindryczną, że musi o tyle być czystą, aby krusta rdzy, lub zaołowienia nie przytrzymała jednostronnie denka w pędzie, że ładunek nie śmie być krzywo zakręcony itd., to przy wierceniu lejkowem lufy możliwość balistycznej szkodliwości tekturki jeszcze bardziej się potęguje.

Porównawszy, przy użyciu zwykłych ładunków, serję obrazów strzałowych z normalnej lufy cylindrycznej z takąż serją każdej lufy lejkowego wiercenia, abstrahując od zalety ogólnie lepszego krycia tej ostatniej, musimy zauważyć o wiele większą równomierność między sobą wszystkich obrazów strzałowych z cylindrycznego wiercenia, jak lejkowego. W szczególności zdarzają się w tej drugiej serji, krycia fenomenalnej jakości, ale nieraz bezpośrednio po nich następuje strzał, którego obraz jakby wiatr rozdmuchnął — bez śladu tendencji dobrego krycia.

Analiza wszystkich danych, przy zupełnie jednakiej roboty ładunkach użytych do doświadczeń, doprowadza nas ostatecznie do przeświadczenia, że krycie tarczy (nieruchomej) powinno być taksamo równomierne w swoim więcej skupionym typie, jak z cylindrycznej. Skoro tak nie jest, a więc wpada tu w rachubę jakiś szkodliwy czynnik, przychodzący do znaczenia albo więcej, albo wyłącznie tylko przy lejkowem wierceniu.

Ponieważ różnicę między obu wierceniami stanowi lejkowate zwężenie, jego więc wpływ na ładunek należy badać, dochodząc sprawy. Na łuskę i kapslę w niej jest on bez znaczenia; na proch wpływa pośrednio, a to forsując w swem zwężeniu przybitkę prochową, powoduje bądź co bądź momentalne jej przytrzymanie w pędzie i temsamem wywołuje większe napięcie gazów wybuchowych i stąd stwierdzoną empirycznie nieco większą ostrość strzału z lufy lejkowej. Z tem dodatniem działaniem nie da się związać żadna okoliczność, którąby mogła niekorzystnie wpływać na równomierność obrazów strzałów między sobą przechodzę więc do działania lejka na śrut.

Kolumna śrutu doznaje równie jak przybitka prochowa w swym pędzie przez lejek pewnego ścieśnienia, co oddziałuje przedewszystkiem na jej nieznaczne wydłużenie; przez to głębsze zszeregowanie ziaren lejek powoduje owo większe skupienie obrazu strzałowego. Ściśle rzecz biorąc, ta działalność lejka wykazuje także pewne słabe strony, mianowicie większe zaołowienie lufy i nieco czasowo rozciąglejsze dopadanie celu przez śruty. Jednak te obie okoliczności, prócz tego że są w praktyce prawie bez znaczenia, działają z istoty swej przy każdym strzale (tarcza nieruchoma), nie mogą więc być szukaną przyczyną nierównomierności krycia. Przechodzimy tedy do tekturki na śrucie. Ona również, jako dobrze skalibrowana, musi doznać w lejku pewnego wstrzymania i zduszenia, aż pędzące jej na karku śruty przetłoczą ją. Co do skutków tej procedury z nakrywką śrutową, musi się już mieć więcej do powiedzenia.

Przedewszystkiem należy stwierdzić, że o ile przybitka prochowa ma być podatną i elastyczną, a jako taka nie szkodzi najdelikatniejszemu lejkowi lufy, o ty-

le nakrywka śrutowa, aby spełnić zadanie dobrego odwinięcia zakręconej łuski, musi być dostatecznie twardą i odporną.

Dok. n.

Dr. W. B.



Korespondencje.

Czarna, 25. grudnia 1917.

Zdarzenie z dzikiem.

Tutejszy dozorca lasowy, obchodząc swoją część, zauważył tropy dzika, obciął go więc w małem uroczysku, stanął na tropie wchodowym i polecił drugiemu leśnemu zajść z przeciwnej strony, by dzika wygonić. Po dłuższej jednak chwili powrócił wysłany naganiacz z oznajmieniem, że zadania swego spełnić nie może, dzik bowiem ruszony z legowiska idzie w górę debry, a wypędzony stamtąd powraca na legowisko, co powtórzył kilka razy.

Dozorca postanowił wykorzystać upór dzika, stanął przy legowisku, a leśny z przeciwnej zaszedłszy strony, wyparł go także i tym razem do legowiska. Dozorca, słysząc łomot, miał czas strzelić spokojnie i dzik został w ogniu.

Zadowoleni obaj zeszli się nad nieboszczykiem, szczęśliwy pogromca zapalił cygaro i nie nabijając ponownie strzelby, począł się naradzać z towarzyszem, jakby dzika stąd zabrać. W międzyczasie zauważono, że dzik porusza jeszcze racicami, w obawie więc, że może się powlec lub obsunąć radzi dozorca leśnemu: — „Przytrzymaj go za ogon".

— Jeszczeby mnie użarł!

— Widzisz przecież, że ma całą szczękę odwaloną, więc jakże użre? —

Gdy tak rozprawiali, dzik wierzgając ciągle, zesunął się rzeczywiście na dół debry do potoka, straciwszy jednak resztki sił przedśmiertnych, wywalił się nieruchomo. Obaj myśliwi zostali na górze. Po pewnym czasie zaniepokoili się nowymi, silniejszymi ruchami dzika, który rzucił się nawet całym sobą, porywając kawał lodu i śniegu, poczem znowu przycichł, gdy jednak dozorca i leśny zeszli do debry, dzik zerwał się, strzepał z śniegu i począł zwolna uchodzić w górę...

Na nabicie broni i strzał było już za późno.

Dzik miał odbitą szczękę, tak mocno, że jak widać było na tropie, wlókł ją po śniegu, a od postrzału tego, „stracił świadomość". Odzyskał ją jednak w zimnych okładach lodu i śniegu tak zupełnie, że tropienie, doprowadzone aż do granicy obcych rewirów nie przyniosło żadnego skutku — prócz niewczesnych refleksji.

*

Sowi figiel.

Jedna z koleżanek mojej córki dopraszała się o młodą sowę, którą zamierzała chować. Ponieważ u mnie wywiodły się sowy w próżnym gołębniku, więc postanowiłem uczynić zadość życzeniom i poleciłem chłopakowi wybrać młode przy pomocy drabinki.

Zadanie utrudniała stara sowa, tak dalece, że chłopak leżąc po szczeblach, musiał się opędzać rękoma. Gdy jednak wspiął się do gołębnika i włożywszy weń ręce — pozostał bezbronnym, stara skorzystała z tej chwili i porwała mu z głowy kapelusz, unosząc go do lasu.

Obdarty chłopak długo szukał swego kapelusza, zanim go odnalazł głęboko w krzaku, mocno poszarpany.

Włodzimierz Lewicki
(zarz. lasu i łowczy)





Sprawy Towarzystwa.

W poczet członków G. T. Ł. wpisali się za sprawą p. Inż. Skąpskiego pp:

Gorecki Konrad Inż. Kraków, Rynek klep. 5.
Nowicki Zygmunt Inż. Kraków, ul. Czysta 19.
Sołtysik Józef Dr. Kraków, ul. Asnyka 3.
Szarek Bolesław Inż. Kraków, Dąbie 125.

Posiedzenie Wydziału G. T. Ł. odbyło się dnia 3. lutego b. r. o godzinie 10-tej rano.

Obecni: wiceprezesi J. A. hr. Bielski i Seweryn Krogulski, z członków Wydziału pp.: Stanisław hr. Mycielski, radca dworu Marjan Małaczyński i Dr. Ludwik Roehr. Usprawiedliwił swoją nieobecność Dr. Józef Ekielski.

Przewodniczący wiceprezes hr. Bielski, zagaja posiedzenie gorącemi słowy wspomnienia o zmarłych członkach Towarzystwa, a obecni oddali cześć ich pamięci przez powstanie z miejsc.

Następnie przystąpiono do obrad nad sprawami objętemi porządkim dziennym.

Protokół z ostatniego posiedzenia Wydziału przyjęto do wiadomości bez dyskusji.

Sprawozdanie z czynności Wydziału z okresu wojny po koniec r. 1917, wygotowane dla walnego zebrania—na wniosek St. hr. Mycielskiego, który uznał je za doskonałe zobrazowanie rzeczywistego stanu rzeczy — zatwierdzono i polecono wydrukować w „Łowcu" — jakkolwiek zadecydowano, że zwołanie Walnego zebrania członków będzie możliwe dopiero po wojnie.

Po zatwierdzeniu zamknięcia rachunków po koniec r. 1917, toczyła się z powodu opłakanego stanu funduszów Towarzystwa pełna troski dyskusja o dalszy jego byt.

Po oświadczeniu sprawozdawcy, że zawisł on jedynie od wpłacenia przez członków zaległych wkładek, wynoszących 30.000 koron, uchwalono poruczyć ich ściągnięcie Syndykowi Towarzystwa, a to na podstawie § 11. Statutu.

Preliminarz dochodów i wydatków Towarzystwa na r. 1918 zatwierdzono w całości.

Pismo członka Wydziału G. T. Ł. Dra Józefa Ekielskiego, który skutkiem nadwątlonego zdrowia składa swój mandat, przyjęto z ubolewaniem do wiadomości, pozostawiając dalszą decyzję Waln. Zgromadzeniu.

Przy wnioskach członków uchwalono przedłożoną na piśmie rezolucję St. hr. Mycielskiego, który domaga się zapisania jej w dosłownem brzmieniu do protokołu:

„Wydział G. T. Ł. jednogłośną uchwałą postanowił wyrazić wiceprezesowi Towarzystwa p. Sewerynowi Krogulskiemu serdeczne podziękowanie i najwyższe uznanie z powodu jego nadzwyczajnej energji i poświęcenia, z jakiem przez cały czas inwazji, wśród największych trudności ratował egzystencję Towarzystwa i nie dopuścił do jego upadku".

Na tem, o godzinie 12. w południe, obrady zamknięto.



Kącik humorystyczny.

Odprawa. Niedzielny myśliwy (do ładnej dziewczyny) — No, mała, nie boisz się mnie?

— Ja? Nie, ale tata się boi — bo to naganiacz...

* * *

Trudna zgoda. Ja chcę — strzelba nie chce; strzelba chce — zając nie chce...



Kto „ŁOWCA“ nie kompletuje, a posiada:
nr. 7. i 15. z roku 1912,
„ 3. i 6. „ „ 1913,
„ 2. „ „ 1914, —
raczy je dostarczyć Administracji „Łowca“, ul. Cicha 1. I. p., za stosownem wynagrodzeniem.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor naczelny i odpowiedzialny Seweryn Kreguiski.
Odbito w drukarni „POLONIA“ we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 16.